Tom IX. Nr. 8.

11. Września 1863.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Grobowy kamień.

Przejeżdżałem niedawno przez wieś Zabawę — ładna to wieś, na jednym końcu dwór murowany z ogrodami i gumnami, jakby tam stało jakie miasto, w środku kościoł między lipami i parkanami, widać nowo fundowane wszystko; a domy gazdowskie w całej tej wsi porządne z kominami, ogrodzone płotami i sadami, aż miło widzieć takie drzewa i szczepy. Stoi ci także porządna szkoła, nito plebania druga, na około sztachety i furtka ładna i widać uczą się tam dziatki, bo przez okna widziałem dużo dzieci z xiążkami i skazówkami przed sobą. Ale co porządek to porządek we wsi, aż miło popatrzyć. Otóż jadąc tak przyjechałem przed cmentarz, ależbo to i cmentarz jak ogródek, do około przekopa głęboka i drzewa pono kasztany i brozy płaczące, a na cmentarzu stoją ci co grób, to krzyż i napisy pobożne, gdzie ci wypisano każdego nieboszczyka po nazwisku, a niejednemu dodano, że był pobożny albo miłosierny, albo też taki a taki grzesznik. Otóż wołam na mego Mateusza furmana:

— Hej! stańno trochę, bo to warto oglądać taki cmen-

tarz, gdzie groby idą za porządkiem nito grządeczki w ogrodzie. I poszedłem furtką na cmentarz, zdjąłem kapelusz i począłem mówić: Wieczne odpoczywanie, racz im dać Panie! i przeszedłem cały cmentarz, aż w rogu cmentarza zobaczyłem zamiast krzyża jakiś prosty kamień, ot taki z drogi i to bez napisu i znaku jakiego. Przypatruję się i dumam sobie, coby to mogło być takiego z tym kamieniem na grobie i poszedłem do grobarza, który właśnie brał grób, powitałem go pięknie z Bogiem i pytam go:

— Mój ojcze dobry! na co to leży tam w rogu taki prosty kamień na jednym grobie? toćby się patrzało zawołać kamieniarza, aby to jakoś młotkiem wyrównał i porządnie osadził na grobie.

Na to powiedział stareńki grobarz:

— Oj mój Jegomość dobry! tego kamienia nikt nie może ruszać z miejsca, bo powiadają ludzie, żeby zaraz uschły obie ręce temu, ktoby śmiał to ruszać.

A ja ciekawy pytam zaraz:

— No! cóżby to był za kamień taki dziwny i cudowny, żeby od niego usychały komu ręce?

A grobarz postawił łopatę w grobie i mówił:

— Oj cudowny to! boć cudowny ten kamień — bo gdzie to kto słyszał albo widział, żeby z małego kamyka taki wielki wyrósł i powiadają ludzie, że co rok go przybywa i nawet mają być na nim znaki jakiejś krwi.

— Otóż proszę was! grobarzu — mówię mu — pójdźcieno ze mną do tego kamienia dziwnego i opowiecie mi różności o nim, bo to widać coś strasznego się podziało na tem miejscu. I podałem rękę grobarzowi staruszkowi, aby go z grobu wyciągnąć i poszliśmy oba do kamienia, mówiąc po cichu „Anioł pański“ za temi duszyczkami, które już zabrał Pan Jezus z tego świata. Grobarz tak jął opowiadać:

— Bo to widzi Jegomość! pono nigdy już nie będzie dobra między głupim ludem, bo to nieraz ani po dobremu ani po złemu nie poradzisz temu, jak się to na co uprze i dobrzeto gadają starzy, że lepiej z mądrymi zgubić, niż z głupimi znaleźć. Takto tak bywało i w naszej wsi kiedyś. Było

pijaków i zbijaczów co nie miara, to też dokazywało to rozmaicie, a Pan Jezus robił też swoje, jakto zawsze bywało. Otóż i tu niedaleko tego cmentarza było dwu braci na jednym gruncie, co to teraz siedzi na jednym niejaki Maciej Gora, a drugi przeszedł całkiem w obce ręce. I widzi Jegomość jak to się zaczęło żreć i gryźć od niedzieli świętej do niedzieli, od rana do wieczora, to tam temu nikt a nikt nie poradził, ani ich pogodził, i już wie to Bóg, co tam się ludzie nie napróbowali, aby to pogodzić, a ono nic nie pomogło i ciągłe swary i kłótnie aż strach.

A ja poderwałem grobarza mówiąc:

— A przecie tu we wsi był jakiś pan i xiądz, albo był i urząd gromadzki i jacyś starsi nad nimi, toć można było to jakoś załagodzić i uciszyć.

A grobarz kiwając głową gadał:

— Ta gdzieta Jegomość pomoże głupiemu jaka rada, toćto pono prawda, że złego psa to i kijem nie odgonisz, tak samo i ze złym człowiekiem. Toć starzy gadają, że dostali oni oba więcej kijów w karczmie i pod kościołem, niż włosów na głowie, a to przecie nie pomogło, bo zły to tak, jak worek z mąki, bij kijem a ono się zawsze kurzy i kurzy i nie dasz temu rady.

A ja ciekawy o ten kamień pytam:

— No! i cóż się stało mój ojcze! bo ja muszę jechać, a chciałbym też i dowiedzieć się.

A grobarz gadał:

— A i cóżby innego, jak kara boża i utrapienie! oto raz się starszy napił, a był on daleko gorszym od młodszego, i podybał tu koło furtki cmentarza swego brata, i nuż dalej do wyzywania, do bitki i jak nie złapie kamienia do ręki i pal nim jeden i drugi raz w głowę i zabił na śmierć brata.

A mnie aż włosy stanęły na głowie na to gadanie i mówię do grobarza:

— A najświętsza panno! a cóżto za Heród taki, aby aż brata zabijać, a to Kain, co zabił brata Abla gałęzią na czystem polu!

A grobarz gadał:

— Oj tak! tak! zabił go zabił na publikę gromady i ta publika została i zostanie pono na wieki dla naszej wsi, ale bo też i jemu nie podarował Pan Jezus i dał mu za swoje, bo nie minęło tydzień, a on już nie żył i widzi Jegomość tu są oba groby i tu leży brat koło brata.

A ja się zapytał:

— To może ten sam kamień leży tu na grobie, którym zabił brat brata?

— A jeno, że tak, odpowie mi grobarz, jeno ten kamień był pierwej tak mały, jak kocia głowa, a teraz taki, jak ceber i ani go nie ruszysz z miejsca, bo widzi Jegomość rośnie i rośnie jak na drożdżach, i nikt nie wie, jak wielki on będzie. A co to się porobiło z tym kamieniem, to aż strach opowiadać.

A ja ciekawy zawołam mego furmana, aby też i on posłuchał takiej historyi i pytałem:

— A jakże! czy to się nie wydało, czy nie było kary jakiej na tym świecie i od ludzi dla tego grzesznika?

A grobarz gadał:

— A jakże było karać, kiedy o tem z początku nikt nie wiedział — bo ledwo pochowała gromada tu zabitego, to potem nie wytrzymało i tydzień, a drugi brat już konał, a gromada myślała, że on z żalu za bratem umiera, a to było inaczej, bo widać sumienie go dręczyło, a Pan Jezus zesłał karę widoczną, bo czem kto wojuje, to od tego ginie, a zabić kogo niewinnie, to ciężka krew i woła pono o pomstę do nieba, taki pono przeklęty na wieki od samego Boga!

— Oj prawdę gadacie — mówiłem grobarzowi — ani pan chłopa, ani chłop pana nie może zabić — ani bić ani kaleczyć nie wolno nikomu, a w naszym polskim kraju to my wszyscy sobie bracia, mamy kościoł święty, świętego Ojca na ziemi, a w niebie jednego Pana Jezusa i Najświętszą Pannę, bośmy się powinni kochać i stać jeden za drugim, bronić jeden drugiego, boć wiecie mój ojcze! że to dziś taki czas, abyśmy tym pomagali, którzy na dobre ciągną i tych ratowali, co nam dobrze robią. Ale gadajcieno dalej o tym kamieniu:

I znowu grobarz gadał:

— I widzi Jegomość, jak gromada tych dwóch braci po-

chowała, to zwołał xiądz gromadę, nagadał się im aż mu tchu prawie zabrakło i kazał wziąć ten kamień i położyć na grobie na znak, że tym kamieniem zabił brat brata i to przed samym cmentarzem.

I gromada zaniosła kamień i złożyła na grobie. Aż oto jakoś za tydzień dają znać xiędzu, że ktoś kamień przełożył z grobu na drugi grób, gdzie leżał ten brat, co to zabił brata. I xiądz sam poszedł i wziął do ręki kamień, zażegnał go i znowu położył na swoje miejsce i kazał pilnować. Na drugi dzień przychodzi, a kamień znowu przełożony, więc znowu go położył na dawne miejsce i kazał grobarzowi, memu dziadkowi pilnować i na krok nie odchodzić. Ba! ale kamień sam się ruszył i posunął się na drugi grób, a na to patrzył się mój dziadek i tak się przestraszył, że aż upadł na ziemię i dopiero po chwili wstał i poleciał do xiędza i opowiedział to wszystko. Zlecieli się ludzie na taki cud, zaczęli płakać i modlić się, a xiądz nie ruszył tego kamienia, jeno go zostawił i powiedział, że to pewnie na to robi tak sam Pan Jezus, aby was gromado przekonał, że to ten zabił brata swego, na czyim grobie sam Pan Jezus kładzie ten kamień, aby ten kamień cieżył na grobie tego, co zabił drugiego. I widzi Jegomość! odtąd leży tu ten kamień, ani go nikt nie tknie, a co rok jest on większy i dotąd nie każą mi tu ani ruszać tego grobu, bo go i trudno ruszyć, kiedy takie kamienisko zaległo cały grób, i wie to sam Bóg, jak wielki on urośnie, a ludzie tak gadają, że urośnie albo taki, jak wielki był zabójca sam, albo aż taki, jak wielka była jego grzeszna chałupa, a może i większy. To też gadają ludzie, że tu ciągle coś stęka, coś płacze, a te czerwone kropki na tym kamieniu, to ma być krew brata zabitego i ta krew ma tak pozostać aż do dnia sądnego.

Na takie gadanie ciekawe aż pobladł mój furman, a ja zapytałem grobarza:

— Ale dla Boga świętego, czy to jeno prawda, że brat ten zabił drugiego? bo to się nie należy posądzać nikogo o takie grzechy bez dowodów.

A grobarz odrzekł:

— Ba! Jegomość! kiedy on sam konając zwołał żonę i

dzieci i sąsiadów i powiedział im, że jego dusza pójdzie na same dno do piekła za brata i napominał ludzi, stojących koło łóżka śmiertelnego, aby oni nigdy tak nie robili, aby się nie kłócili z dworami, kościołami i z nikim, jeno aby żyli zgodliwie jako polscy katoliki. A jak skonał to mu w ręce sama gromnica zagasła i coś całe okno wyrwało i na drobne kawałki pocharatało, a ludzie tak się polękli, że uciekli i nikt potem ani tam do jego chałupy nie zajrzał, a żona z dziećmi wyprowadziła się aż na drugą wieś do siostry, i dopiero potem xiądz chałupę poświęcił, nabożeństwo odprawił, i ona się sprowadziła. Nic tam nie straszy w chałupie, ale kamień na jego grobie jak rośnie tak rośnie, a na miejscu, gdzie miał zabić brata, postawiła żona mękę bożą i ta tam stoi do dziś.

A ja dodałem teraz tak:

— Otóż macie żywy dowód pokarania boskiego, za Abla niewinnego przeklął Bóg Kaina i ziemię, za krew cudzą karze Bóg różnemi sposobami na ziemi, a na tamtym świecie wysyła duszę taką na wieczne potępienie. Dobry to przykład dla gromad wszystkich, i szkoda, że o tym kamieniu nie wiedzą wszyscy nasi krajanie. Ale mój ojcze, powiedźcie mi jacy też tu u was są ludzie dzisiaj, czy tacy pijacy i zbijacze, jak dawniej? czy się kłócą i zabijają, jak ci bracia nieboszczyki?

A grobarz mi powiedział:

— A gdzieby ta! mój Jegomość! dziś mamy xiędza dobrego, dba o kościół i uczy nam dziatki, ot! stoi szkoła, którą on i pan fundowali, a pan i pani to szukać takich na świecie, pobożni, przystępni, miłosierni, a wójt i urząd cały to ludzie dobrani, gorzałki nie piją, sprawy w domu sądzą a sprawiedliwie i porządnie robią, aż miło na świecie, a chłopi też teraz mają rozum, trzymają z dworem i kościołem i dobrze nam teraz, i przykład mamy dobry i chleb mamy, jeno ten kamień jest nam publiką i cięży nam na sumieniu.

— No! to chwała Bogu — mówiłem do grobarza — ja myślałem, że w waszej wsi tylko hulają i bawią się, bo to śmiesznie zowie się wasza wieś Zabawa, a tu macie widać zabawę z Bogiem, bawcie się tak zawsze i zostańcie z Panem Jezusem, a ja opatrzę jeszcze tę mękę bożą i pojadę z Bogiem.

I opatrzyłem figurę, gdzieto zabił brat brata kamieniem, pokazałem ją memu furmanowi, a wam też opisuję tę ciekawość o kamieniu tym strasznym, abyście wiedzieli o cudach w naszym polskim kraju i nie robili nigdy żadnego grzechu.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Pogrzeb Moskala.

A z chałupy kowala
Będzie pogrzeb Moskala;
Starszy sierżant Nikita
Kowala się zapyta:
— Gospodarze moi mili,
Możeście go zamorzyli?

A on rzecze od miecha:
— Idźcie sobie do grzecha,
Całe życie żołnierki
Takiej nie miał wyżerki;
Lecz co prawda to nie grzech,
Takie życie, to nie śmiech.

Czemu nie miał mrzyć,
Kiedy bieda żyć?
Stare płaszczysko,
Karabinisko,
Z kulami worek,
I pies Azorek,
I tornister cielęcy,
Ponoś nie miał nic więcej?

— Gadasz chłopie marne słowo,
Nasz brat służył honorowo.
— Nie potrzebne te przechwałki,
Widział ci ja jak brał pałki,
Lepiej służyć żydowi
Jak takiemu królowi.

— Małczy chłopie kowalu!
— Ej głupiś ty Moskalu —
Rzekł Bartłomiej ze śmiechem,
I jął węgle dąć miechem,
Fajkę sobie nakłada,
I nic do nich nie gada.

Wzięli tedy sołdata
Na ramiona, jak brata,
I nieśli go pospołu
Sześciu ludzi do dołu.
Dobosz z bębnem skórzanym
Przed umarłym Iwanem,
I piszczałka mała
Moskalowi świstała.

A przy oknie we dworze
Mówi dziedzic: majorze,
Zabiliści biedaka.
Major łyknął araku:
Szczo tam pane Polaku,
Nu, taki zdechł sobaka.

Teofil Lenartowicz.

Kto sieje z płaczem, zbiera z weselem,

c z y l i:

Historya o biednym Mikołajku i nieuczynnym Franciszku Rzepce.

Niedawno, bo dopiero ze dwa tygodnie będzie temu, szedłem sobie przez wioskę Chełm, która leży niedaleko od Bochni nad rzeką Rabą. Jestci tu okazały kościół farny, zaś przy nim stoi wysoka dzwonica, wielka plebania murowana, a i domki gospodarzy wyglądają pięknie, znać że są gospodarni i pracowici.

Niespodzianie zeszedłem się tam z jakimś gospodarzem, i nie długo zaczęliśmy gawędkę, i tak bałakając to o tem i o owem, zaprosił mnie ów gospodarz do swojej chaty, poczęstował chlebem i masłem, a nakoniec poszliśmy razem do sadu na gruszki, które żółte jak cytryny wisiały na drzewie.

— Czem mogę to was częstuję — mówił do mnie ów gospodarz — boć z tego człek nie zubożeje, a drugiemu jaką taką wyświadczy przysługę.

— Bóg zapłać za dobre serce — powiedziałem do niego — ale dzisiaj mało ludzi postępuje wedle zwyczaju naszych przodków, którzy nietylko łaknącego, ale każdego nieznajomego jako najmilszego gościa w dom swój przyjmowali, częstując go czem mogli — teraz przeciwnie nawet swego krewnego się zapierają gdy on jest biedny, a im się cokolwiek lepiej wiedzie.

— Oj, świętą mówicie prawdę — rzekł gospodarz — w naszej bowiem wsi przed kilkoma laty żył niejaki Franciszek Rzepka, bogaty niezmiernie człowiek, a taki skąpy, że ani biednych nie wspierał ani krewnemu swojemu nie dopomógł; ależ miałci on za swoje także.

Zacząłem rozpytywać gospodarza o owym Rzepce, a kiedy usiedliśmy sobie na darniowej ławce pod rozłożystem drzewem, gospodarz zaczął prawić w ten sposób:

— Było to jeszcze za życia mojego ojca, kiedy niedaleko od naszej zagrody stała stara i pochylona chałupa, w której z łaski kmiecia Dybczaka siedział biedny wyrobnik Jakób ze żoną swoją.

Nie mieli oni żadnego dobytku, a bieda jak się do nich przyczepiła, takci się i trudno było jej pozbyć. Jakóbowie pracowali od świtu do wieczora, mało jednak mogli zarobić, bo od starości opadły ich już siły, a tu jeszcze mieli syna Mikołaja, który chodził do szkoły.

Ostatnią nadzieję pokładali oni w tem dziecku, myśląc, że gdy ukończy wszystkie szkoły, zostanie panem, to im na starość da jakie takie utrzymanie, a więc nie zważając na słabe zdrowie gorzej bydląt pracowali.

Ale inaczej zarządziła Opatrzność boska! Kiedy Mikołajek po wakacyach poszedł do miasta dalej na naukę, zachorowała Jakóbowa, codzień było jej gorzej i gorzej, zeschła jak szczypa i po kilku dniach choroby umarła jednej nocy.

Biedny Jakób, staruszek już o siwym włosie, niechcąc martwić swego syna, nie doniósł mu o śmierci matki, jeno sam trzy razy więcej jak zwykle pracował, aby się doczekać pociechy ze syna.

Modlitwą koił on swoje boleści, to też często mawiał przed obrazem:

— O Boże miłosierny! dodaj mi siły do pracy, a nie spuszczaj choroby, bo syn mój zostanie sierotą!...

Nie długo atoli starczyło zdrowie Jakóbowi. Co dzień tak ciężko pracować to przecie nie żarty — i młody by się zmarnował, a cóż dopiero taki starowina. Zapadł też niebawem w chorobę, przyszedł xiądz z Panem Jezusem, a Jakób pojednawszy się z Bogiem zakończył życie.

Mikołajek został więc sierotą bez ojca i matki, a nie wiedział o tem ani słowa. Nie odbierając zaś za dwa tygodnie z domu żadnej żywności, zmartwił się i zafrasował okrótnie. Owoż poszedł do wsi, zachodzi do chaty, a tu drzwi zamknięte, ani ojca, ani matki.

Rozpłakał się żałośnie, serce stanęło mu w piersi od wielkiego bolu, usiadł przed drzwiami i długo nie mógł się ruszyć z miejsca. Nareszcie powstał i poszedł do sąsiada, aby się dowiedzieć o wszystkiem.

— Toś ty nie wiedział, mój Mikołajku — powiedział sąsiad — że rodzice twoi nie żyją?

— To oboje nie żyją! zawołał zafrasowany Mikołajek. — O cóż ja pocznę biedny teraz na świecie! Nic zgoła nie wiedziałem.

— Nie martw się moje dziecko — pocieszał go sąsiad — Bóg jeszcze jest na niebie. Masz przecie bogatego wuja, toć on nie będzie od tego żeby cię nie posyłał do szkoły, kiedy masz tak wielką ochotę.

Uspokoił się nakoniec Mikołajek, oczyścił się z kurzu i zamyślał iść do Franciszka Rzepki, swego wuja, który mieszkał blisko rzeki.

— Aha to to ten skąpiec był wujem Mikołajka! dodałem.

— On ci to był jego wujem, choć niegodnym był tego przezwania — odpowiedział gospodarz. — Kiedy Mikołajek przyszedł do niego, spytał się tylko co on za jeden, po co przyszedł, a potem jakby jakiego cudzego człowieka wyprowadził za drzwi i zawołał:

— Takich włóczykijów nie przyjmuję do mojego domu. Ja ciebie znać nie chcę, idź sobie świnie paść kiedy nie masz o czem chodzić do szkoły, a nie naprzykrzaj się daremnie spokojnym ludziom.

Tak jak Mikołajka odprawiał on prawie każdego, nie dopomógł nikomu, bo nie zważał na przykazanie boże, które każe mieć miłosierdzie dla biednych.

Nie potrzeba wam opowiadać, jak się biednemu Mikołajkowi zrobiło markotno. Nie wypadało mu więc nic innego, tylko udać się jeszcze do stryjenki, dosyć ubogiej wdowy, która w drugiej o milę odległej wsi mieszkała.

— O, jakże się masz moje biedactwo! — wołała uradowana stryjenka gdy Mikołajek do niej przyszedł – a usiądźże sobie i pokrzep się czemkolwiek, bo musisz być zmęczony z drogi.

I zaraz przyniosła mleka, chleba, masła i sera i zachęcała go do jedzenia, i widać było że się nie posiada z radości ujrzawszy swego bratanka.

— Oj biednyś ty teraz biedny — mówiła — możesz więc przy mnie zostać, a ja cię tu pożywię i odzieję.

A Mikołajek wstaje ze stołka, całuje stryjenkę w rękę i tak do niej mówi:

— Kochana stryjenko! wszystkobym zrobił, cobyście mi jeno kazali, ale jabym was prosił o jedną rzecz.

— O jaką, gadaj mój Mikołajku — poderwała spiesznie.

— Oto widzicie teraz chodziłem do szkoły i dopiero kilka dni temu jak przestałem chodzić, bo nie miałem żywności. Poszedłem tedy do domu i dowiedziałem się, że rodzice nie żyją, a ja mam bardzo wielką chęć do nauki. Jeżeli więc mogę was moja stryjenko prosić, to poszlijcie mię póki czas nazad do szkoły, a da Pan Jezus że się, jeżeli nie wam to waszym dzieciom odwdzięczę.

— O ile jeno będę mogła — odrzekła stryjenka — będę ci dopomagała, idź w imię Boże a pracuj tylko jak twój nieboszczyk ojciec.

Uściskał Mikołajek dobrą stryjenkę, przenocował u niej, a rano pożegnawszy się z nią poszedł do miasta do szkoły.

W szkole uczył się pilnie, nie wdawał się ze złymi chłopcami, uważał na każde słowo nauczycieli, to też go wszyscy bardzo polubili.

Spory już minął kawał czasu, gdy jednego dnia dostaje Mikołajek list z onej wsi gdzie stryjenka mieszkała, i dowiaduje się z niego, że dobra kobicina przed kilkoma dniami pogorzała, owóż poszła sama do dworu na służbę, a dwoje jej dziatek zabrała razem z nią do siebie litościwa pani dziedziczka.

Mikołajek zaczął już desperować, ale Opatrzność boska, która zawsze i wszędzie czuwa nad sierotami, zesłała jakoś na razie poczciwego a bogatego pana, który dowiedziawszy się o pilności i zdatności Mikołajka, wziął go we własny dom do swojego syna, aby go uczył, płacił mu za to, więc tym sposobem mógł Mikołajek dalej chodzić do szkoły.

I nie na długo znowu było tego szczęścia, bo pan, którego syna uczył, miał wyjechać w dalekie kraje, a więc odprawił Mikołajka.

Nie narzekał on i nie szemrał, modlił się owszem codzień nabożnie i chociaż był opuszczony powtarzał sobie: „Kto sieje z płaczem, zbiera z weselem“ — dlatego też pracował tem

ochoczej, a gdy mu wychodziły już zarobione pieniędze, często przemyśliwał jakimby sposobem nie odrywać się od szkoły i skończyć szczęśliwie nauki.

Siedząc raz przy okienku rozmyślał sobie napisać do wujaszka, aby go poratował. Owóż napisał zaraz bardzo składnie czuły list do niego i oddał na pocztę.

Minął tydzień jeden, drugi i piąty, a odpowiedzi jak nie było tak nie było. Mikołajek zaczął żyć coraz mizerniej, często tylko kawałek chleba z ciepłą wodą zjadł na dzień, bo chciał aby mu pieniądze na dłużej wystarczyły. Siedział ciągle nad xiążkami, a chociaż głód mu dokuczał, nie marudził, wspominał sobie Zbawiciela i mówił:

— On więcej cierpiał za nas grzeszników, to i ja cierpieć mogę, a może się dni szczęśliwych doczekam.

Ale bo też Mikołajek zgadzał się z wolą bożą, zaufał w boskiem miłosierdziu i we wszystkiem był cierpliwy.

Gdy się zaś nie mógł doczekać odpisu, napisał drugi list do wuja, a i na ten mu nic nie odpowiedział.

Mikołajek myśląc, że wujaszek może nie mą czasu odpisać, zebrał się w drogę i poszedł go sam prosić o łaskawość.

Idąc drogą przechodził sobie w głowie, jak się będzie z wujem witał, jak się do niego odezwie — przyszedłszy zaś przed drzwi bogatego skąpca, długo się zastanawiał czy się odważyć drzwi odemknąć czy lepiej iść do kogo innnego.

Ośmielił się nakoniec, otworzył drzwi i przywitał na stołku siedzącego wuja, który palił fajkę.

— A witaj miły Mikołajku! — zawołał wuj niby z uśmiechem — jak się masz? już długo cię nie widziałem, jak ci się też powodzi w szkołach? siadaj, a powiedz co cię do mnie prowadzi?

— Wszak wiesz kochany wuju! — odrzekł Mikołajek ze łzami w oczach — co mnie tutaj przyprowadziło. Jestem ubogi sierota, mam chęć do nauki, a więc potrzebuję pomocy. Przychodzę do ciebie, bo myślę że mi jej udzielisz. Ja nie chcę wiele, przestanę na odrobinie. Zlituj się przez Boga żywego nademną, przecież jesteś moim krewnym, dopomóż mi niech

skończę nauki i posil mię, bo gdzie na drodze z głodu omdleje jeszcze bardziej moje znędziałe ciało!

— Proszę, co za śmiałość! — ofuknie wuj skąpy. — Ja to samo mam dzieci, dla nich nie mało potrzebuję! Jak śmiesz się przyznawać, że ty jesteś moim krewnym? Znałem ojca twego żebrakiem, chcesz go i ty naśladować? Wstydź się, masz zdrowie, a zatem kiedy nie masz co jeść, to idź do szewca, a nie pchaj się do szkoły i nie zawadzaj ludziom.

— Pamiętaj wuju — odpowiedział Mikołajek — sumienie twoje dręczyć cię będzie; ty mnie teraz znać nie chcesz, ale przyjdzie czas, że ci się przydam i usłużę w potrzebie.

I skłoniwszy się wujowi wyszedł szukać noclegu.

— Co za bezczelnik — mruknął sobie wuj pod nosem — mówi, że on mi będzie w potrzebie usłużnym. Tfu! on — on zgnije gdzie pod płotem. Szkoda żem niegodziwca oknem nie wyrzucił... I ja mam takiego żebraka wspomagać? Nigdy na świecie!

Mikołajek wrócił do miasta wielce zafrasowany. Nie wiedział biedaczyna jaka go tu czeka niespodzianka. Oto ten sam pan, u którego uczył niedawno chłopca, zawołał go nazad do syna, bo sobie rozmyślał nigdzie nie jechać.

Mikołajek uradował się niezmiernie, uczył znowu pańskiego syna i tak ukończywszy wszystkie szkoły, wstąpił do seminarium, gdzie to uczą na xięży. Tu przebył cztery lata, a potem został xiędzem i dostał na wsi piękną plebanią. Wziął zaraz stryjenkę i jej dzieci do siebie, bo pamiętał że ona mu wiele zrobiła dobrego.

Dwaj synowie Franciszka pokończyli taki szkoły i zostali urzędnikami. Przeniesiono ich niebawem o kilka mil od rodzinnej wioski, i długo już nie widzieli się z ojcem.

Jednego razu pojechał więc do nich Franciszek w odwiedziny, a wziął ze sobą córkę Magdusię.

A że to był czas jesienny i wilgotny, dziewczyna w drodze okrutnie zachorowała i o mało że już nie umarła.

Zaturbowany Franciszek zajechał tedy do jednej wsi i stanął u jakiegoś gospodarza. Dziewczyna codzień słabła i słabła i nie wyszedł tydzień — umarła.

Owóż idzie Franciszek na plebanią, aby prosić o pogrzeb tamtejszego xiędza.

— A zkądżeściewy? — zapytał xiądz.

— A z tej a z tej wioski — odpowiedział Franciszek.

Xiądz zamyślał się na chwilę, spojrzał na Franciszka i tak dalej gada:

— Czy zaś macie tam jakich krewnych?

— Nie mam żadnych — mówi Franciszek — został się tylko jeden chłopiec Mikołajek po mojej siostrze, ale nie wiem gdzie się teraz obraca.

— O dla Boga miłego, toście wy Franciszku?... O wuju mój kochany! — wykrzyknął xiądz, a był to Mikołajek, o którym wuj na dobre zapomniał, i zaraz rzucił się na szyję wujaszkowi.

— To ty Mikołajku! — krzyknął znowu Franciszek — o jakże cudowne są rządy Boskie! Pierwej spodziewałbym się był śmierci, niżeli ciebie widzieć xiędzem. — O przebacz mi, przebacz — teraz dopiero poznaję, żeś prawdę powiedział, że i biedny może być w potrzebie usłużnym.

— Przebaczam wam serdecznie, drogi wuju — rzecze xiądz Mikołaj — pomimo że mię pierwej znać nie chcieliście i w przygodzie dopieroście się do mnie przyznali. Przy pomocy Boga i ludzi skończyłem nauki, a posiawszy z płaczem, zebrałem z weselem. Nie miałem nic swojego, dzisiaj dzięki ojcu niebieskiemu i drugiemu udzielić mogę, dlatego też chowam stryjenkę i jej dziatki, a to nie robi mi wielkiego uszczerbku, owszem bardzo mię to cieszy, że się jej odwdzięczyć mogę.

Zawstydził się Franciszek i oraz żałował, że był taki niedobry dla Mikołajka, ale widząc iż się na niego nie gniewa, prosił go mocno, aby zapomniał o wszystkiem i był tak dobrym odprawić pogrzeb.

Poczciwy xiądz Mikołaj napisał zaraz do synów Franciszka o całym wypadku, a kiedy się ci zjechali, odprawiono piękny pogrzeb.

Na cmentarzu miał xiądz Mikołaj przemowę, w której nauczał, żeby się ludzie miłowali i wspierali nawzajem, bo nie można wiedzieć, kiedy się jeden drugiemu przydać może czy

to biedny albo bogaty. Wszyscy płakali najbardziej zaś Franciszek, którego widać Bóg ukarał na przestrogę, aby pomagał bliżnim i nie przykładał wielkiej wartości do pieniędzy.

Przystąpił też niebawem do spowiedzi, poczem wcale innym zrobił się człowiekiem, poprawił swoje życie, poznał bowiem we wszystkiem palec Boży.

Smutne było rozstanie Franciszka z xiędzem Mikołajem. Na grobie Magdusi pożegnali się bardzo czułe i tu przyrzekli sobie dozgonną miłość i życzliwość.

I na tem skończył gospodarz swoją opowieść. A że ona może być nauką dla niejednego z was kochani ludkowie i miłe dziateczki wiejskie, owoż spisałem ją do słowa, jak mi gospodarz opowiadał. *Józef z Bochni.*

Pogadanka gospodarska o gnoju.

Przyszedł Janko Świstal do Filipa Łopaty prosić o pożyczenie wozu na jarmark jutrzejszy. Filip, człek bywały po świecie, dawny wojak a gospodarz zawołany na całą okolicę, był właśnie w stajni, dokąd zaszedł Janko. Patrzy on, aż tu Filip zamiata czyściutką podłogę, niby w chacie, a dalej na misce przygotował sobie cosik niby gipsu. Pyta więc Janko:

— Mój Filipie miły, a czy tu bal sprawiać będziecie chudobie, że takie czystości a porządki wyrabiacie?

— Balu sprawiać nie będę — powie Filip — a czystość to u mnie zawsze taka sama w stajniach.

— No jużci — powie Janko — i u mnie czysto, ale takiej elegancyi na co? tego to ja już zmiarkować nie mogę.

— W temci jeszcze nie racya, że ty nie możesz zmiarkować — mówi Filip — i ja także kiedyś bywało taksamo gadałem, a dziś przecie inaczej robię. Ba! wszyćko to furda na te rzeczy, jakie ja w inszych krajach widziałem. Toś ty Janku nigdy jeszcze takiej izby porządnej nie widział, jakie ja stajnie. A tegoćby ludzie dla samej zabawki nie robili, i jużci musi być w tem jakaś racya.

— Ba! a jakażto? pyta Janek.

— Oto taka mój miły, że to potrzebne. Jużci każdy z was wie, iż gnój pożyteczny. Każdy prawie ma gnojownię, ale cóż, kiedy jeszcze nie każdy umie się z tem obchodzić jak należy. Najpierw trzeba ci wiedzieć, że czystość taksamo potrzebna dla zwierzęcia jak i dla człowieka. Im czyściej będzie w stajni, tem zdrowsze będziesz miał bydło. A dalej znowu masz pamiętać, iż gnój gnojowi nie równy. Dobry jest zwykły gnój, aleć daleko lepszy zaprawiany, tak naprzykład jak u mnie gipsem. Gips ma to do siebie, iż ziemię robi pulchną i urodzajniejszą. Dlatego posypuję podłogę gliną i gipsem, aby się dobrze przymieszały z gnojem, a potem czysto stajnię uprzątam, aby bydło nie chorowało z niechlujstwa.

Nauczyłem się tego w Szwajcaryi, gdzie chowają najpiękniejsze bydło, i z tego prawie tylko żyją. Próbowałem, a iż mi dobrze się udało, więc trzymam się tego sposobu, i radzę ci Janku także tak uczynić, zamiast sobie z rozumu śmieszkować.

Janek skrobał się w głowę, cosik tam pomrukiwał, a wziąwszy wóz pociągnął go do domu. Zaś mówił Grześ Wściuba, iż u Janka jakoś dziwnie teraz czysto i elegancko w stajni, i dziwował się temu okrótnie, bo widać nie opowiedział mu Janek dokumentnie całej sprawy.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Dnia 2 września z rana wybuchł pożar w Kulikowie w obwodzie żółkiewskim u gospodarza Jana i zgorzało 7 domów mieszkalnych i 10 budynków gospodarskich, a także wiele zboża i jedna krowa.

W Załoścach nowych w obwodzie złoczowskim wszczął się ogień z niewiadomej przyczyny dnia 28 sierpnia i zniszczył 6 domów włościańskich z budynkami gospodarskiemi, tak iż 9 rodzin zostało bez przytułku i pożywienia.

Zaś dnia 29 sierpnia był wielki ogień w Oświęcimie. Zaczęło się palić zaraz z południa w jednym domie koło klasztoru, a iż był wiatr suchy, to niebawem połowa miasta stanęła w płomieniach. Takci zgorzały: kościół, bożnica, magistrat, urzęda, i 110 domów z budynkami gospodarskiemi. Na kościele i magistracie zgorzały tylko dachy, ale reszta wszystkie budynki do gruntu się spaliły. Zda się iż temu winna także nieostrożność. Szkody są ogromne, i szczęście tylko, że nikt z ludzi nie zginął w tem nieszczęściu.

Niedawno także paliło się miasto Zaleszczyki, i coś tam dużo zgorzało, zaś jaka szkoda, to jeszcze nie wiem dokładnie.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**